

KORCZAK
JANUSZ

KIEDY ZNÓW
BĘDĘ MAŁY

Korczak Janusz

Kiedy znów będę mały

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23539938

Kiedy znów będę mały:

Аннотация

Cudownie by było stać się znowu dzieckiem... Bohaterowi tej książeczki się to udaje: odzyskuje rodziców i radość z biegania, chodzi do szkoły i odbiera świat emocjonalnie jak w dzieciństwie. Janusz Korczak w tej niezwyklej opowieści przypomina, jak mocno dzieci czują, jak głęboko przeżywają świat – i jak łatwo ich uczucia zranić. Przedszkolaki i uczniowie zawierają przyjaźnie i sojusze, a nawet zakochują się, muszą też sami radzić sobie z wrogami, mocno współczują bohaterom książek i bezdomnemu psu, silnie odczuwają każdą niesprawiedliwość i zniewagę. Dziecięcy świat tylko z pozoru wydaje się prosty i wesoły.

Содержание

Dzień pierwszy	14
Конец ознакомительного фрагмента.	59

Janusz Korczak

Kiedy znów będę mały

Do dorosłego czytelnika

Powiadacie:

– Nuży nas obcowanie z dziećmi.

Macie słuszność.

Mówicie:

– Bo musimy się zniżać do ich pojęć.

Zniżać, pochylać, naginać, kurczyć.

Mylicie się.

Nie to nas męczy. Ale – że musimy się wspinać do ich uczuć.

Wspinać, wyciągać, na palcach stawać, sięgać.

Żeby nie urazić.

Do młodego czytelnika

W powieści tej nie ma ciekawych przygód. Jest to próba powieści psychologicznej.

Nie psychologiczna, że o psach. Nie psy, ale jeden tylko Lutek.

*A że po grecku: **psyche** znaczy – **dusza** .*

Mówi się tu, co się dzieje w duszy człowieka: o czym myśli, co czuje.

To tak było:

Leżę raz w łóżku i nie śpię. Ale przypominam sobie, że jak

byłem mały, często myślałem, co będę robił, gdy urosnę.

Różnie układałem.

Jak będę duży, zbuduję domek dla rodziców.

I ogródek będę miał. Żeby w ogródku nasadzić drzewek: grusz, jabłoni i śliwek. Zasieję kwiaty. Żeby, jak jedne kwiaty więdną, inne zaczynały kwitnąć.

Nakupię książek z obrazkami albo bez obrazków, tylko żeby były ciekawe.

Kupię farby, ołówki kolorowe, będę rysował, malował. Co zobaczę, będę rysował.

Będę pielęgnował ogródek – i altankę wybuduję. W altance postawię krzesło, fotel z poręczami. Altanka będzie obrośnięta dzikim winem, a jak ojciec wróci z roboty, niech siedzi wygodnie w cieniu. Nałoży na nos okulary i będzie czytał gazetę.

A mama znów – będzie miała kury. I będzie gołębnik wysoko na palu, żeby się kot albo inny szkodnik nie zakradł.

I króliki będą.

Będę miał srokę, nauczę ją mówić.

Będę miał kuca i trzy psy.

Raz chcę mieć trzy psy, a raz cztery. Nawet wiedziałem, jak je będę nazywał. Zresztą niech będą trzy: dla każdego po jednym. Mój będzie Bekas, a mama i ojciec niech nazwą, jak im się będzie podobało.

Dla mamy mały, pokojowy piesek. A jak woli kota – no to kot. Albo i pies, i kot. Przyzwyczajają się, z jednej miseczki będą jadły. Piesek czerwoną wstążeczkę, kot – niebieską.

Raz się nawet pytałem:

– Mamo, czy czerwona wstążka lepsza dla psa, czy dla kota?

A mama powiedziała:

– Znów spodnie podarłeś.

Ojca się zapytałem:

– Czy każdy staruszek musi mieć ławeczkę pod nogi, jak siedzi?

Ojciec powiedział:

– Każdy uczeń powinien mieć dobre stopnie i nie stać w kącie.

No i przestałem się pytać. Już potem sam wszystko.

Może psy będą do polowania. Pójdę na polowanie, przyniosę do domu, mamie oddam. Nawet dzika upoluję, ale nie sam – z kolegami. Moi koledzy także już będą duzi.

Będziemy chodzić się kąpać. Zrobimy łódkę. Jak rodzice zechcą, będę ich woził.

Gołębi będę miał dużo. Listy będę pisał i przez gołębie wysyłał. To będą gołębie pocztowe.

Z krowami było tak samo. Raz myślę, że jedna wystarczy, raz – dwie.

Więc jak mamy krowy, to już jest mleko, masło, ser. A kury naniosą jajek.

Później będą ule. Pszczoły, miód. Mama namarynuje dla gości śliwek na całą zimę i nasmaży powideł.

Będzie las. Pójdę do lasu na cały dzień. Wezmę wszystkiego na cały dzień, pójdę zbierać jagody, poziomki, a potem na grzyby. Nasuszy się grzybów – i będzie.

Narąbię drzewa duuuużo, na całą zimę. Żeby było ciepło.

Studnię trzeba wykopać głęboką, aż do wody czystej, źródlanej. Ale różne rzeczy trzeba kupować: buty, ubranie. Ojciec będzie stary, nie może dużo zarabiać. Więc ja.

Zapręgnę konia i zawiozę na targ owoce, jarzyny, wszystko, co niepotrzebne. A co potrzebne – przywiozę. Będę się targował i tanio kupię.

Albo nałożę jabłek do koszów, pojedę do dalekich krajów okrętem. W ciepłych krajach są figi, daktyle, pomarańcze, więc im się znudziły. I kupią jabłka. A ja – ich owoce. Przywiozę papugę, małpkę i kanarka.

Sam już nie wiem, czy wierzyłem w to wszystko. Ale przyjemnie było tak sobie w głowie układać.

Czasem nawet wiedziałem, czy koń będzie gniady, czy kary. Bo na przykład widzę jakiegoś konia i myślę: „O, takiego będę miał, jak urosnę”. A potem zobaczę innego i myślę: „Nie, taki będzie lepszy”. Albo: „Niech będą dwa – i ten, i ten”.

Aż wezmę i znów inaczej.

Że będę nauczycielem. Zbiorę ludzi i powiem:

– Trzeba dobrą szkołę wybudować. Żeby nie było tak ciasno, żeby jeden drugiego nie pchał, nie deptał, nie potraçał.

Przychodzą dzieci do szkoły, a ja się pytam:

– Zgadnijcie, co będziemy robili?

Jeden powie:

– Pójdziemy na wycieczkę.

Drugi mówi:

– Będą przezrocza¹.

I to, i sio.

A ja:

– Nie, nie; wszystko to też będzie, ale i coś ważniejszego.

Aż jak się uspokoją, dopiero:

– Szkołę wam zbuduję.

I wymyślam różne przeszkody. Że niby szkoła już prawie gotowa, a tu się zawaliła albo pożar. Trzeba znów zacząć; ale na złość jeszcze lepszą buduję.

Zawsze myślałem z przeszkodami. Jak jadę okrętem – to burza. Jak jestem wodzem – naprzód przegrywam, a na końcu dopiero zwycięstwo.

Bo nudzi się, jeżeli się wszystko od samego początku udaje.

Więc przy szkole jest ślizgawka, więc są różne obrazki, mapy, przyrządy, gimnastyka, wypchane zwierzęta.

Nadchodzą święta, a tu się zebrali przed szkołą chłopcy i dziewczęta i krzyczą:

– Proszę wpuścić! Nie chcemy świąt, chcemy chodzić do szkoły!

Woźny się z nimi kłóci, ale nie pomaga. A ja siedzę w kancelarii, nic nie wiem, bo piszę różne papiery... Aż tu wchodzi woźny. Zastukał i wchodzi.

On zastukał. Ja mówię:

¹ *przezrocza* – obrazy lub zdjęcia wyświetlane na ścianie lub na ekranie; w XVIII i XIX w. było do tego wykorzystywane urządzenie zwane latarnią czarnoksięską, w którym skupiony w soczewce promień światła przechodził przez obrazek namalowany na szkle i wyświetlał ten obraz na ścianie. [przypis edytorski]

– Proszę.

No i mówi:

– Proszę pana, dzieciaki zrobiły bunt, nie chcą świętować.

A ja:

– Nie szkodzi, zaraz je uspokoję.

Wychodzę – śmieję się – nie gniewam. Tłumaczę:

– Jak święta – to święta. Nauczyciele muszą odpocząć. Bo jak są zmęczeni, gniewają się i krzyczą na dzieci.

Rada w radę: że będą przychodziły się bawić na podwórku, ale porządku niech same pilnują.

Różnie myślałem, co będę robił, gdy urosnę.

Raz, że będzie tylko ojciec i mama, a raz, żeby mieć żonę. Żeby na własnym gospodarować.

Żał mi się z rodzicami rozłączyć, więc mieszkamy razem, tylko przez sień. Po jednej stronie rodzice, po drugiej ja z żoną. Albo niech będą dwa domki w sąsiedztwie. Bo ludzie wiekowi lubią spokój. Jak się po obiedzie położą, żeby dzieci nie przeszkadzały. Bo dzieci latają, tupią, stukają, krzyczą, hałasują.

Kłopot mam z dziećmi, bo nie wiem, czy chceć samych chłopaków, czy i dziewczynkę. Czy lepiej, żeby chłopiec był starszy, czy ona.

Żona mogłaby być taka jak moja mama, a dzieci – sam nie wiem. Czy chcę, żeby dokazywały, czy mają być spokojne i co im pozwolić robić? No – żeby cudzego nie ruszały, papierosów nie palić, nie mówić brzydkich wyrazów, żeby się nie biły i nie bardzo kłóciły.

A co zrobię, jak się pobiją, nie zechcą się słuchać albo szkodę jaką wyrządzą?

Czy mają być większe, czy małe?

Rozmaicie myślę.

Raz chcę być duży jak Michał, raz jak wuj Kostek, raz jak tatuś.

Raz chcę być duży na zawsze, a raz tylko na próbę. Bo może z początku będzie mi przyjemnie, a potem znów zechcę być mały?

I myślałem – myślałem, aż naprawdę urosłem. Już mam zegarek, wąsy, biurko z szufladami, wszystko mam jak dorośli. I naprawdę jestem nauczycielem. I nie jest mi dobrze.

Nie jest mi dobrze.

Dzieci nie uważają na lekcjach, muszę się ciągle gniewać. Dużo mam różnych zmartwień. Ojca ani mamy już nie mam.

Więc dobrze.

Zacznę teraz myśleć na odwrót:

„Co bym robił, gdybym znów kiedy był dzieckiem. Nie takim zupełnie małym, ale żeby chodzić do szkoły, znów bawić się z chłopakami. Żeby tak nagle obudzić się i zobaczyć: Co to się stało? Czy mi się tylko śni, czy naprawdę?”

Patrzę na ręce, dziwię się. Patrzę na swoje ubranie, dziwię się. Wyskakuję z łóżka, lecę do lustra. Co to się stało?

A tu mama pyta:

„Wstałeś już? Prędko się ubieraj, bo się spóźnisz do szkoły”.

Gdybym znów był dzieckiem, chciałbym pamiętać, wiedzieć, mieć wszystko, co teraz wiem i umiem. I żeby nikt się nie

domyślał, że już byłem duży. A ja niby nic. Udaję, że jestem takim samym chłopakiem jak wszyscy, mam ojca i mamę i chodzę sobie do szkoły. Tak byłoby najciekawiej, najlepiej. Przyglądałbym się tylko i tak by było śmiesznie, że mnie nikt nie poznaje.

Więc raz leżę w łóżku – nie śpię i myślę:

„Gdybym był² wiedział wtedy, wcale nie chciałbym urosnąć. Sto razy lepiej być dzieckiem. Dorośli są nieszczęśliwi. Wcale tak nie jest, że dorośli mogą robić, co chcą. Nam mniej jeszcze wolno niż dzieciom. Cięższe mamy obowiązki. Więcej mamy smutków. Rzadziej mamy myśli wesołe. Już nie płaczemy – to prawda – ale chyba dlatego, że nie warto płakać. My tylko ciężko wzdychamy”.

I westchnąłem.

Westchnąłem ciężko, głęboko: że już trudno – przypadło. Nikt nic nie poradzi. Nigdy już dzieckiem nie będę. Nic tu żal nie pomoże.

Ale jak tak westchnąłem, zrobiło się nagle ciemno. Zupełnie ciemno. Nic nie widzę. Tylko dym jakiś. Aż w nosie kręci.

Zaskrzypiały drzwi. Przestraszyłem się. Jakieś maluśkie światełko się pokazało. Jak gwiazdka.

– Kto to?

² *gdybym był wiedział* – dziś: *gdybym wiedział*; przykład użycia czasu zaprzeczonego, oznaczającego czynność wcześniejszą niż wyrażona czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, w połączeniu z przypuszczeniem, warunek, o którym już wiadomo, że się nie spełnił. [przypis edytorski]

A gwiazdka płynie przez ciemność i coraz bliżej – do mnie. Już koło łóżka, już na poduszce.

Patrzę – a to maleńka latarka. A na poduszce stoi mały człowieczek... A na głowie ma czerwony, wysoki kapelusz. I siwą brodę. No, krasnoludek. Tylko zupełnie mały – jak palec.

– Jestem.

Uśmiecha się i czeka.

I ja się uśmiechnąłem. Bo myślałem, że mi się tak śni. Dorosłemu też się czasem przyśni dziecinnie sen – że aż się dziwi, skąd to się wzięło.

A krasnoludek mówi:

– Wezwałeś mnie, więc przybyłem. Czego chcesz? Tylko prędko!

On nie mówi, tylko jakoś ćwierka. Ale cicho, cichutko. A ja słyszę i rozumiem.

– Wezwałeś mnie – mówi – a teraz nie wierzysz.

I zaczął bujać latarką: w prawo, w lewo, w prawo, w lewo.

– Nie wierzysz – mówi. – Dawniej ludzie zajmowali się czarami. Teraz w czarnoksiężników, w krasnoludki i wróżki wierzą tylko dzieci.

Buja latarką i kiwa głową. A ja boję nawet ruszyć.

– Powiedz jakieś życzenie. Spróbuj. Co ci to szkodzi?

Poruszyłem ustami, żeby się go zapytać, a on już się domyślił – już wie.

– Wezwałeś mnie Westchnieniem Tęsknoty. Ludzie myślą, że zaklęcia – to koniecznie muszą być wyrazy. A nie, a nie, a nie!

Kiwa głową, że nie. Przeszępuje z nogi na nogę. Tak śmiesznie. I latarką swoją w prawo i w lewo. A ja czuję, że już zasypiam. I oczy szeroko otwieram, żeby nie zasnąć. Bo mi szkoda.

– No, patrz – mówi krasnoludek – patrz, jakiś ty uparty! Śpiesz się, bo sobie pójdę. Mnie nie wolno być długo. Będziesz potem żałował.

Już nawet chcę powiedzieć życzenie, ale nie mogę. Może już jest tak na świecie, że łatwo mówić, jeśli się tak sobie pragnie, a trudno, jeśli chce bardzo.

Widzę, że krasnoludek zmartwiony. Żal mi go. Ale nie mogę.

– No, pozostań w spokoju. Szkoda.

I już odchodzi. I teraz dopiero powiedziałem cicho i prędko:

– Chcę znów być dzieckiem.

Wrócił – zakręcił się jakoś – i latarką prosto w oczy. I coś powiedział, ale nie słyszałem. Nie wiem, jak wyszedł. A kiedy się rano obudziłem, pamiętałem wszystko.

Rozglądam się ciekawie po pokoju.

Nie, nie śniło się wcale.

Prawda.

Dzień pierwszy

Nic nie mówię nikomu, że byłem dorosły, udaję, że zawsze byłem chłopcem, i czekam, co z tego będzie. Tak mi dziwnie i śmiesznie. Patrzę i czekam.

Czekam, aż mama mi chleb ukraje, niby że sam nie mogę. Pyta się mama, czy lekcje odrobiłem. Mówię, że tak, ale naprawdę to nie wiem.

Wszystko jak w bajce o śpiącej królewnie, a nawet gorzej. Bo królewna sto lat spała, ale wszyscy razem z nią spali i razem się obudzili: i kucharze, i muchy – cała służba – nawet ogień na kominie. I obudzili się tacy sami. A ja obudziłem się zupełnie inny.

Spojrzałem na zegar, ale zaraz się odwróciłem, żeby się nie zdradzić. Bo może tamten chłopak nie znał się na zegarze?

Ciekawy jestem, jak też będzie w szkole, jakich tam spotkam kolegów. Czy zauważą co, czy będą myśleli, że już dawno chodzę do szkoły? Dziwne, że wiem, do której szkoły mam iść, na którą ulicę. Wiem nawet, że nasza klasa jest na pierwszym piętrze, a siedzę na czwartej ławce koło okna. A koło mnie Gajewski.

Idę – tak maszeruję. Wymachuję rękami. Lekki jestem, wyspany. Zupełnie inaczej, niż kiedy byłem nauczycielem. Rozglądam się na wszystkie strony. Uderzyłem ręką w szyld blaszany. Nie wiem, po co to zrobiłem. Zimno, aż para idzie z ust. Umyślnie chucham, żeby szło więcej pary. Przychodzi

na myśl, że mogę zagwizdać jak lokomotywa, dmuchać parą i biec zamiast chodzić. Ale się jakoś wstydzę. No – a właściwie czego? Na to przecież chciałem znów być dzieckiem, żeby mi było wesoło.

Ale od razu nie można. Trzeba się naprzód wszystkiemu przyjrzeć, dopiero potem.

Idą chłopcy i uczennice, idą i dorośli. Patrzą, kto weselszy. Ci spokojni i ci spokojni. Prawda: na ulicy nie mogą dokazywać. Zresztą jeszcze się nie rozruszali. Ja co innego: pierwszy dzień dopiero zaczynam być dzieckiem, więc mi wesoło.

I jakoś dziwnie. Jakbym się czegoś wstydził.

To nic. Pierwszego dnia tak być musi. Potem się przyzwyczaję.

Aż zobaczyłem duży wóz. A koń nie może uradzić. Widocznie źle podkuty, bo mu się nogi ślizgają. Paru chłopców stoi i patrzy. I ja przystanąłem.

„Ruszy z miejsca czy nie?”

Rozcieram uszy, tupię, bo nogi marzną; już chcę, żeby ruszył, żeby się skończyło... A szkoda mi odejść, dopóki nie zobaczę. Zawsze to ciekawe: bo może się koń przewrócić – i jak sobie woźnica poradzi? Gdybym był duży, przeszedłbym obok obojętnie, pewnie bym wcale nie zauważył. A że jestem chłopakiem, więc mnie to ciekawi.

Patrzą, jak dorośli tylko nas odsuwają z drogi, bo im przeszkadzamy. Czego się tak śpieszą?

No, nic. Wóz ruszył nareszcie i przychodzi do szkoły.

Wieszam palto do swojej klasy. A tam już mówią, że Wisła stanęła.

– Dziś w nocy.

Tamten mówi, że nieprawda. Kłóćą się. Właściwie nie kłóćą się, ale spierają.

Jeden mówi:

– Patrzcie go! Pierwszy mróz i już mu Wisła stanęła! Kra to może płynie.

– Właśnie, że nie płynie.

– E, głowę zawracasz!

Jeszcze się paru przyłączyło. Dorosły na pewno powiedziałby, że się kłóćą. Bo racja; ten mówi: „Głupi jesteś”, tamten mówi: „Frajerze”. Od Wisły przeszli na śnieg. Czy będzie, czy nie? A to, że dym z komina idzie w górę, więc nie będzie śniegu. A to, że po wróblach można poznać, czy będzie śnieg. Któryś tam mówi, że widział barometr.

I znowu:

– Głupi jesteś.

– Ty za to mądry!

– Kłamiesz!

– Może ty kłamiesz?

Nie wszyscy biorą udział w kłótni. Bo inni stoją, sami nic nie mówią, tylko słuchają.

Ja się też przysłuchuję i przypominam sobie, że i dorośli w cukierni też kłóćą się często – nie o śnieg, ale o politykę. Zupełnie tak samo. Nawet mówią tak samo:

– Załóż się pan, że prezydent nie przyjmie dymisji.

A tu:

– Załóż się, że śniegu nie będzie.

Nie mówią: „Głupi – kłamiesz” – spierają się delikatniej, ale też jest hałas.

Ale tak stoję sobie, a wpada Kowalski.

– Te, słuchaj, napisałeś przykłady? Pożycz mi, to sobie przepiszę. Wczoraj goście byli u nas. A może pani będzie sprawdzała.

Ja nic: rozkładam teczkę i patrzę, co się tam dzieje w zeszycie. Jakby to było nie moje, a tego jakiegoś chłopca, który wczoraj za mnie lekcje odrabiał.

A tymczasem jest dzwonek. On nie czeka, aż sam pozwolę, tylko łapie i leci na swoją ławkę. A mnie przychodzi do głowy, że jeżeli przepisze tak samo, pani może pozna i pomyśli, że to ja ściągnąłem. Jeszcze mnie do kąta postawi.

Śmieszne mi się wydało, że będę stał w kącie.

A Wiśniewski się pyta:

– Czego się śmiejesz?

– Coś mi się przypomniało – mówię i dalej się śmieję.

A on:

– Wariat. Śmieje się, sam nie wie z czego.

Ja mówię:

– Wariat – nie wariat. Może wiem, z czego się śmieję, tylko ci nie chcę powiedzieć.

A on:

– Ho, ho, jaki ty tajemniczy.

I odszedł obrażony.

Dziwię się, że wiem, jak oni się nazywają, przecież ich pierwszy raz widzę i oni mnie także. Zupełnie jak we śnie.

Tymczasem wchodzi pani, a Kowalski zeszytu nie oddał. Wołam cicho: „Kowalski – Kowalski”, ale nie słyszy albo udaje. A pani mówi:

– Czego się kręcisz? Siedz spokojnie!

Myślę sobie: „No, zarobiłem pierwszą uwagę w szkole od nauczycielki”.

A siedzę niespokojnie, bo nie mam zeszytu.

Schowałem się za tego, co przede mną, i czekam, co będzie.

Boję się. Nieprzyjemnie się bać. Gdybym był dorosły, nie bałbym się. Nikt by ode mnie nie przepisywał przykładów. A że jestem uczniem i kolega poprosił, nie mogłem przecież odmówić. Zaraz by powiedział, że nieużyty, samolub. Powiedziałyby: „chytry”, że chcę, żeby pani tylko mnie chwaliła, że dobrze napisałem przykłady.

Chyba będę najlepiej się uczył, bo raz już szkołę kończyłem. Trochę zapomniałem, ale co innego sobie przypominać, a co innego uczyć się wszystkiego na nowo.

Pani tłumaczy gramatykę, a ja dawno już umiem. Pani każe nam pisać, ja raz-dwa napisałem. I siedzę. Pani zauważyła, że nic nie robię, i pyta się:

– A ty dlaczego nie piszesz?

Mówię:

– Już napisałem, proszę pani.

– Pokaż no, coś ty tam napisał – mówi pani, ale tak, jakby zniecierpliwiona.

Ja też nie lubię, jeżeli zadałem na całą godzinę, a napisali prędkiej. Bo nauczyciel zada i chce mieć spokój do dzwonka, a oni się śpieszą, a potem zaczynają rozmawiać.

Więc idę do pani i pokazuję.

– Owszem, dobrze, ale jeden błąd zrobiłeś.

– Gdzie? – pytam się niby zdziwiony.

Naumyślnie zrobiłem błąd, żeby się pani nie domyśliła, że już raz szkołę skończyłem.

Pani mówi:

– Poszukaj sam, gdzie jest błąd. Gdybyś się tak nie śpieszył, mogłeś zupełnie dobrze napisać.

Wracam na miejsce i niby szukam. Udaję, że jestem zajęty. Będę musiał powoli lekcje odrabiać, ale tylko z początku. Potem, kiedy już będę najlepszym uczniem w klasie, nauczyciele się przyzwyczają, że jestem zdolny.

No, ale nudzić mi się zaczyna. A pani się pyta:

– Znalazłeś swój błąd?

Mówię:

– Znalazłem.

– To pokaż.

Pani mówi: „Tak”. I jest dzwonek.

Jak już jest dzwonek, zaczyna się przerwa. Niby pauza. Dyżurny wygania z klasy i okna otwiera.

Co ja też będę robił? Dziwne mi się wydało, że mam z chłopakami się gonić. Ale próbuję³ jak inni.

Przyjemnie, wesoło. O, przyjemnie!

Jakże dawno już nie biegałem!

Kiedy byłem młody, mogłem nie gonić się, ale biec do tramwaju albo na dworzec. Czasem dokazywałem z dziećmi u znajomych. Niby chcę złapać, one uciekają. No, tak: kiedy byłem młody. Potem już do tramwaju się nie śpieszyłem. Co tam – uciekł mi tramwaj, na drugi poczekam. A jak na żarty gonię dziecko, to tylko kilka kroków, a potem tupię na miejscu, żeby postraszyć. A ono ucieka i dopiero się ogląda z daleka. Albo biegnie naokoło i robi wielkie koło, a ja się kręcę na miejscu i udaję, że się puszczę w pogoń. Ono myśli, że jakbym chciał, tobym złapał, bo ja jestem dorosły. A ja nie mogę. Bo siłę mam, ale mi serce zaraz mocno bić zaczyna i tchu brak. Tak, i po schodach już wolno wchodziłem, a jak było wysoko, odpocząłem po drodze.

A teraz:

Pędzę, aż mi powietrze szumi i w twarz bije. Spociałem się, ale nic. Przyjemnie, wesoło. Aż podskoczyłem z radości i zawołałem:

– Aleee przyjemnie być dzieckiem!

Zaraz się przestraszyłem i rozejrzałem, czy kto nie słyszał; bo mógł pomyśleć, że jeśli tak się cieszę, więc może nie zawsze byłem dzieckiem.

³ *probować* – dziś popr.: próbować. [przypis edytorski]

Pędzę, że mi wszystko miga przed oczami. Męcę się, to prawda. Ale wystarczy przystanąć na chwilę, westchnąć parę razy – i znów mogę, już odpocząłem – dalej!

Dobrze się stało, że znów sobie latam, a nie tak: człap – człap, krok za krokiem.

O dobry krasnoludku, jakże ci jestem wdzięczny!

Bo dla nas bieg jest jak konna jazda, galopem, „z wichrem w zawody”. Nic się nie wie, nie myśli, nie pamięta, nawet nie widzi – tylko się czuje życie, pełne życie. Czuje się, że jest powietrze we mnie i wokoło.

Gonię, uciekam – wszystko jedno. Prędeż!

Upadłem. Stukłem kolano. Zabolało. I dzwonek.

Szkoda. Żeby jeszcze troszeczkę. Żeby jeszcze minutkę.

– Kto prędeż: ty czy ja?

Już nie boli noga. Znów wiatr bije w oczy, w twarz, w płuca. Znów pędzę bez opamiętania, żeby być pierwszy. Cudem wymijam chłopców, zdobywam przeszkody. Próg – ręka za poręcz i w górę po schodach. Nie oglądam się, ale czuję, że zostałem z daleka. Zwyciężam.

I z całego rozmachu w wąskim korytarzu – bęc na kierownika⁴! Mało się nie przewrócił.

Widziałem, że kierownik stoi, ale się już nie zdążyłem zatrzymać. Zupełnie jak maszynista, szofer czy motorniczy. W tej chwili zrozumiałem, że niesłusznie ich oskarżają. Przygoda, nieszczęście, ale nie вина. Może naprawdę wyszedłem z

⁴ kierownik – tu: dyrektor szkoły. [przypis edytorski]

wprawy? Boże mój – tyle lat, tyle lat!

Mogłem się wcisnąć między chłopaków, bo wszyscy lecieli. Ale ja dopiero pierwszy dzień jestem znowu uczniem.

Więc stanąłem jak głupi. Nawet nie powiedziałem „przepraszam”. A kierownik złapał mnie za kołnierz i trząchnął, aż głowa mi zalatała. Ale zły taki, że nie wiem.

– Jak się nazywasz, urwisie?

Ja w strachu. Serce mi tłucze, słowa nie mogę wymówić. Wie on, że nienaumyślnie, więc powinien przebaczyć. Ale znów tak z rozmachu pchnąć kierownika? Mógł się przecież przewrócić, uderzyć. Chcę coś przemówić, ale drzę cały i język mi skołowaciał.

A pan znów mną trząchnął i krzyczy:

– Odpowiesz ty mi wreszcie czy nie? Pytam się, jak twoje nazwisko!

A tu naokoło taka się kupa zebrała. I patrzą. A mnie wstyd, że zbiegowisko. Akurat pani przechodziła, zapędziła do klasy. Zostałem sam. Spuściłem głowę jak zbrodniarz.

– Chodź do kancelarii.

Powiadam cicho:

– Pan kierownik pozwoli, że się usprawiedliwię.

A kierownik:

– Co tam mi będziesz dużo opowiadał! Jak się pytałem o nazwisko, czemu nie odpowiedziałeś od razu?

Ja:

– Bo się wstydzilem, że wszyscy stoją i patrzą.

– A latać jak nieprzytomny to się nie wstydzisz? Przyjdź jutro z matką.

Zacząłem płakać. Łzy same lecą. Jak groch. A w nosie od razu mokro.

Pan kierownik popatrzał, żal mu się widać zrobiło.

– No, widzisz – powiada – niedobrze za dużo dokazywać, bo się potem płacze.

Gdybym teraz przeprosił, widzę, że by przebaczył. Ale się wstydzę przeprosić. Już chcę powiedzieć: „Niech mnie pan inaczej ukarze, bo po co mamę martwić”. Cóż, kiedy nie mogę, łzy przeszkadzają.

– No, idź do klasy, bo się lekcja zaczęła.

Ukłoniłem się. Idę, znów się wszyscy patrzą. I pani się patrzy. A Marylski mnie z tyłu trąca:

– No, co?

Ja nic, a on znów:

– Co ci powiedział?

Zły jestem. Czego się czepia, co to go obchodzi?

Pani mówi:

– Marylski, proszę nie rozmawiać.

Pani widać też chciała, żeby mi dał spokój. Pani widzi, że mam zmartwienie, więc przez całą godzinę nic się nie pytała.

A ja siedzę i myślę. Dużo mam do myślenia. Siedzę, nie słucham, nie wiem, o czym mówią. A to akurat arytmetyka. Oni podchodzą do tablicy, piszą, wycierają. Pani wzięła kredę, mówi coś, objaśnia. Ja gorzej niż głuchy. Bo nie słyszę i nie widzę

także. I nawet nie udaję, że wiem. Pani mogła od razu poznać, że nie uważam. Musi być dobra, bo inna na złość by wyrwała. Teraz już rozumiem, że u dzieci, jak się coś jedno nie uda, to się zaraz nawali i to, i to, i to. Od razu człowiek traci wiarę w siebie. A powinno być tak, że jeden krzyczy, drugi powinien pochwalić, zachęcić, pocieszyć. I czy trzeba krzyczeć? Bo ja wiem? Może trzeba, może nie.

A jak ja robiłem, kiedy byłem nauczycielem? Rozmaicie bywało. No, tak: nagle wpadłem na kierownika i on nagle za kark mnie złapał. Co mógł zrobić innego? Rozzłościł się, potem się uspokoił. Czy przebaczył?

Powiedział:

– Idź do klasy.

I nie wiem, czy mam jutro przyjść z mamą, czy nie.

I tak sobie myślę:

„Zaledwie kilka godzin jestem dzieckiem i jak wiele przeżyłem. Dwa razy najadłem się strachu: raz, że mi zeszyt zabrał – było nieprzyjemnie; drugi raz – z panem kierownikiem. I jeszcze się nie skończyło, i sam nie wiem, co robić”.

Najadłem się wstydu, kiedy mnie jak złodzieja jakiego za kołnierz trzymali. Przecież dorosłego nikt nie łapie, nie trzęsie, kiedy nienaumyślnie potrąci. Prawda, że dorośli ostrożnie chodzą, ale się zdarza.

No i dzieciom wolno przecież biegać. A jeśli wolno, kto powinien być ostrożniejszy: czy ja, mały chłopak, czy doświadczony pedagog?

Dziwne, że mi to do głowy nigdy nie przychodziło, kiedy byłem duży.

Zaledwie kilka godzin jestem dzieckiem i już pierwsze łzy. Bo niedługo, ale płakałem. I teraz nawet, choć mam oczy suche, ale w sercu mam tyle żalu.

I jeszcze nie koniec. Przecież się przewróciłem. Opuściłem pończochę, patrzę: skóra na kolanie starta – nie krew, ale boli. Nie boli nawet, ale dolega. Wprzód nie czułem, ale teraz, kiedy siedzę spokojnie i mam zmartwienie...

Dopiero dwie godziny jestem uczniem, już mi pani zwróciła uwagę, żebym się nie kręcił i siedział spokojnie. A co by było, gdyby wiedziała, że dałem przepisać przykłady? Co by było, gdyby teraz pani powiedziała „powtórz”.

Nie uważam. No, nie uważam. A w klasie nie tylko trzeba siedzieć spokojnie, ale trzeba słuchać, wiedzieć, co się dzieje.

Więc i oszust, i nieprzytomny, i nieuważny, a wszystko tylko dlatego, że znów jestem dzieckiem. A jeżeli tak, może lepiej było zostać dorosłym?

I żal mi się zrobiło konia, który nie mógł uradzić wozu, bo był źle podkuty, a wóz był ciężki i nogi mu się na lodzie ślizgały.

Pomyślałem chwilę o koniu i wracam do swego:

„Czy mi lepiej było, kiedy byłem duży? Może kierownik przebaczy? Po korytarzu będę już chodził ostrożnie. Może naprawdę w nocy śnieg spadnie? A tak mi tęskno do śniegu, jakby mi był bratem rodzonym”.

Akurat patrzę przez okno, wichura zasłoniła słońce. Nie

pamiętam, czy oni się w końcu założyli, że śnieg będzie padał. I pomyślałem, że w Ameryce ludzie dorośli też lubią się o wszystko zakładać.

Może naprawdę dzieci nie tak bardzo się różnią od dorosłych, tylko inaczej żyją i inne mają prawa?

A za oknem chmura jeszcze większa – czarna. I przyszło mi do głowy:

„Dziecko to tak jak wiosna. Albo słońce, pogoda i już bardzo wesoło i pięknie. Albo nagle burza, błysnie, zagrzmie i piorun uderzy. A dorosły – jakby we mgle. Smutna mgła go otacza. Ani dużych radości, ani dużych smutków. Szaro i poważnie. Bo przecież pamiętam. Nasza radość i smutek pędzi jak wichur, a ich się tylko snuje. Przecież pamiętam”.

Podobało mi się to porównanie. Tak, gdybym nawet mógł znów się zamienić, wolałbym jeszcze spróbować.

I tak mi się cicho, przyjemnie zrobiło. Tak cicho, jak kiedy się wyjdzie w pole wieczorem, a wietrzyk łagodnie głaszcze po twarzy, jakby kto ręką dotykał. Ale na niebie gwiazdy. I wszystko śpi. I tylko zapach pola i lasu.

Prędyutko mi ta godzina zleciała. Jeśli będę jeszcze nauczycielem, nigdy nie będę wyrwał ucznia, który ma zmartwienie. Niech myśli, niech się uspokoi, niech sobie odpocznie.

Aż drgnąłem cały, kiedy zadzwonili.

I zaraz zaczęli się czepiać:

– Dlaczego płakałeś? Co kierownik mówił?

Dorośli mówią, żeby się nie bić. Myślą, że się dla przyjemności bijemy. Owszem, są silni awanturnicy, którzy szukają zaczepki ze słabszym. Unikamy ich, ustępujemy. Ale to ich więcej rozzuchwała. Kiedy przebierze się miarka, musimy wreszcie dać nauczkę. Na szczęście nie ma ich wielu. Są oni trucizną, przekleństwem naszym. I śmieszne, że dorośli oskarżają wszystkich właśnie przez nich. Dorośli nie wiedzą, co to jest wtrącałski⁵ albo smoła⁶, który najłagodniejszego potrafi do wściekłości, do rozpaczyny doprowadzić.

No, mam zmartwienie. Przecież każdy sam się domyśla, co kierownik mógł mi powiedzieć, jak go mało nie obaliłem. Po co się pytać?

– Co? Jak?

I żeby jeden. Nie. Od jednego się odczepiłeś, drugi podchodzi – i od początku. Przecież widzą, że nie chcę mówić. Nie znam się z nim, prawie z nim nie rozmawiam nigdy – i ten też:

– Wpadłeś na kierownika. Kazał ci pewnie przyjść z matką?

Nie pozwolą człowiekowi być smutnym. Tak długo będą leżli, aż ze smutnego zrobi się zły.

Pierwszemu odpowiadam spokojnie. Drugiemu
zniecierpliwiony:

– Odejdź.

Trzeciemu:

⁵ *wtrącałski* (daw. pot.) – ktoś, kto się wtrąca w nieswoje sprawy. [przypis edytorski]

⁶ *smoła* – tu: ktoś natrętny, od kogo trudno się uwolnić, jak od lepkiej smoły. [przypis edytorski]

– Odczep się!

Czwartego odpycham.

Teraz podchodzi Wiśniewski. Już rano nazwał mnie tajemniczym i wariatem. A teraz chce, żebym mu opowiadał.

– No co? Czego płakałeś? Bardzo cię zrugał? Trzeba było powiedzieć, że pchnęli.

– Jak chcesz, to sam sobie kłam – mówię.

I zaraz pożałowałem.

– Ooo, jaki prawdomówny! Patrzcie, chłopcy, Prawdziwca znalazłem!

Chcę odejść, a on zatrzymuje.

– Poczekaj, czego się tak spieszysz?

Nie puszcza, idzie obok i poszturchuje.

Wziąłem i odepchnąłem. A on jeszcze więcej.

– Tylko się znowu tak nie pchaj, bo to nie twoja szkoła. Myśli, że jak go pani pochwaliła, że zrobił jeden błąd, to mu się już wolno rozbijać.

W pierwszej chwili nawet nie wiedziałem, co wygaduje. Potem dopiero zrozumiałem.

Już podchodzę do drzwi, a on nie puszcza.

– Małe dzidzi – mówi. – Spłakał się dzidziuś. Popłakała się panienczka.

I brudną łapą chce mnie po twarzy.

Już się zamachnąłem. A on silny, ten Wiśniewski. Ale taki już byłem zły, że wszystko jedno: co będzie, to będzie. Jakby się bójka zaczęła, i on by też dostał.

A teraz pytam się, co by powiedział kierownik, gdyby przypadkiem przechodził i zobaczył. Rozumie się, ja winien. Przecież już raz zwojowałem, teraz znów. Już mnie będzie pamiętał. Niech się potem coś stanie, zaraz będzie mnie podejrzewał.

Bom⁷ łobuz:

– Już ja ciebie znam. Już ty nie pierwszy raz.

Kiedy byłem nauczycielem, przecież tak samo mówiłem.

Ale na szczęście pani wchodzi do klasy, żeby sprawdzić, czy wyszli.

– Wyjdźcie, chłopcy! Idźcie sobie polatać.

A on, ten bezwstydnym, jeszcze się skarży:

– Proszę pani, chciałem wyjść, a on mnie nie puszcza.

Takie poczułem do niego obrzydzenie, że tylko splunąć.

– No, idźcie już, idźcie!

Przymrużył jedno oko, tak jakoś usta wykrzywił i jak błazen, szeroko rozstawiając nogi, wyszedł, a ja za nim.

Na podwórko już nie wychodzę, tylko czekam, żeby się pauza skończyła.

Podchodzi Mundek. Popatrzał chwilę – i cicho:

– Nie chcesz wyjść się pobawić?

Mówię:

– Nie.

Znów powstał, popatrzył, czy chcę z nim rozmawiać.

Ten co innego; mówię mu: tak i tak.

⁷ *bom łobuz* – dziś: bo jestem łobuzem. [przypis edytorski]

– Nie wiem, czy mi przebaczył.

Pomyślał chwilę.

– Musisz się przeprosić. W złości tak powiedział. Wejść do kancelarii – pewnie zapomniał.

I były rysunki.

Pani mówi, żeby każdy rysował, co chce: liść jaki albo zimowy krajobraz, albo co chce.

Biorę ołówek: co by tu narysować?

A nigdy się nie nauczyłem. Jak byłem duży, też nie bardzo umiałem. W ogóle za moich czasów niedobre były szkoły. Surowo było i nudno. Nic nie pozwalali. Tak było obco, zimno i duszno, że kiedy się później śniła, zawsze się spocony budziłem i zawsze szczęśliwy, że sen, a nie prawda.

– Nie zaczęłaś jeszcze? – pyta się pani.

– Myślę, jak zacząć.

A pani od rysunków ma jasne włosy i miły uśmiech. Spojrzała mi w oczy i powiada:

– No, myśl sobie, może co ładnego wymyślisz.

I sam nie wiem dlaczego, ale powiedziałem:

– Narysuję szkołę, jaka była dawniej.

– A ty skąd wiesz, jaka była?

– Ojciec mi opowiadał.

Musiałem skłamać przecież.

– Dobrze – mówi pani – to będzie bardzo ciekawe.

Myślę:

„Uda się czy nie uda? Przecież chłopaki też niewielcy

malarze”.

Rysuję niezgrabnie, ale nic – najwyżej będą się śmieli. Niech się śmieją.

Są obrazy, które się składają z trzech: jeden we środku, a dwa po bokach. Każdy inny, ale stanowią całość. Nazywa się tryptyk taki obraz.

Podzieliłem stronicę na trzy części. Na środku narysowałem pauzę. Jak chłopcy się gonią, a jeden coś zbroił, bo nauczyciel rwie go za ucho, a on się wyrywa i płacze. A ten go trzyma za ucho i taką jakby szpicrutą wali po plecach. Chłopak nogę podniósł w górę, zupełnie jakby wisiał w powietrzu. A inni patrzą: głowy pospuszczali, nic nie mówią, bo się boją.

To było we⁸ środku.

Na prawo narysowałem klasę: jak nauczyciel daje linią łapy⁹. Tylko jeden lizuch¹⁰ z pierwszej ławki się śmieje, a innym żal.

A na lewo dają już prawdziwe różgi. Chłopiec leży na ławce, woźny trzyma za nogi. A nauczyciel kaligrafii, z brodą, podniósł rękę do góry i różgę. Taki mroczny, jakby więzienny obraz. Takie ciemne tło dałem.

Na górze napisałem: „Tryptyk – dawna szkoła”.

Jak miałem osiem lat, ja do tej szkoły chodziłem. To

⁸ *we środku* (reg. pot.) – dziś popr.: w środku. [przypis edytorski]

⁹ *dawać linią łapy* – bić linijką w dłoń, kara stosowana dawniej w szkole. [przypis edytorski]

¹⁰ *lizuch* a. *lizus* (pot.) – ktoś, kto się „podlizuje”, czyli jest przesadnie miły wobec nauczycieli i innych osób, które mają nad nim władzę, od których zależy. [przypis edytorski]

była moja pierwsza szkoła początkowa¹¹, nazywała się – przygotowawcza.

Pamiętam, jeden chłopiec dostał wtedy różgi. Nauczyciel kaligrafii go bił. Tylko nie wiem, czy nauczyciel nazywał się Koch, a uczeń Nowacki, czy uczeń Koch, nauczyciel Nowacki.

Strasznie się wtedy bałem. Tak mi się jakby zdawało, że jak jemu skończą, to mogą mnie złapać. I wstydziłem się okropnie, bo go bili na goło. Wszystko mu poodpinali. I przy całej klasie, zamiast kaligrafii.

Brzydziłem się potem chłopca i nauczyciela. A potem, jak się tylko ktoś gniewał albo krzyknął, zaraz czekałem, że będą bili.

Ten Koch czy Nowacki nie był porządny. Kiedy był porządkowy, zamiast gąbkę zamoczyć pod studnią, wziął i na nią narobił. A potem jeszcze się chwalił, rozpowiedział wszystkim.

Nauczyciel wchodzi, każe tablicę wytrzeć, bo było namazane. Nikt nie chce. Więc się rozzłościł i sam bierze gąbkę. I nie wiem, czy się zaczęli śmiać, czy jak, dość, że powiedzieli. I za to dostał różgi.

Byłem wtedy zupełnie mały i niedługo do tej szkoły chodziłem. A widzę wyraźnie, jakby wczoraj dopiero. I czuję tak samo wszystko. I rysuję, aż mi ołówek lata. Aż się dziwię.

Główki uczniów wychodzą małe, ale staram się, żeby każda była inna, żeby znać było grymas na twarzach. I żeby każdy był inny: jeden oparty, jeden przystanął. Siebie też narysowałem, ale nie w pierwszym rzędzie.

¹¹ *szkoła początkowa* – dziś używana nazwa: szkoła podstawowa. [przypis edytorski]

Rysuję, a uszy pałą: tak gorąco, jakbym się gonił.

Rysowałem w natchnieniu.

Byłem już raz dorosły, więc wiem, co się nazywa natchnienie.

Mickiewicz napisał w natchnieniu *Improwizację*. Prorocy kazali w natchnieniu.

Natchnienie – to kiedy trudna robota nagle robi się łatwa. I ogromnie przyjemnie wtedy rysować czy pisać albo tylko wycinać czy majstrować. Wszystko się wtedy udaje i nawet nie wie się, jak to się robi. Jakby samo, jakby ktoś za mnie robił, a ja tylko patrzę. A kiedy skończę, dziwię się, jakby była nie moja robota. I jestem zmęczony, ale zadowolony, że mi się dobrze udało.

I ja mam natchnienie, nie wiem wcale, co się wokoło mnie dzieje.

Zdaje mi się, że dzieci często robią w natchnieniu, tylko im przeszkadzają.

Na przykład, opowiadasz coś albo czytasz, albo piszesz. I wychodzi dobrze. Albo od razu zrozumiałeś zadanie. Nawet może być jakiś błąd, ale to nie błąd albo bardzo mały. A tu ci nagle przerwą, każą poprawić, powtórzyć, coś jeszcze dodadzą, objaśnią. I od razu wszystko przepadło. Zły jesteś i już ci się nie chce, i już się nie uda.

Natchnienie – to jakby rozmowa człowieka z Bogiem. I nikt nie ma prawa się wtrącać. Bo wtedy muszę być sam, żeby nie widzieć, nie słyszeć.

Teraz tak właśnie było. Pani stoi za mną, patrzy, jak rysuję,

a ja nic, tylko poprawiam. Tylko jedną kreseczkę, jedną kropeczkę dodam i coraz lepiej wychodzi.

Pani musiała długo stać, tylko nie wiedziałem.

Dopiero patrzę z daleka i znów coś dodaję, ale coraz ostrożniej. Bo można zepsuć, jeżeli za wiele poprawiać. I jestem zmęczony. I nagle poczułem. Podnoszę głowę, a pani się uśmiecha i rękę mi przyłożyła do policzka.

Nie lubię, kiedy mnie kto głaszcze albo dotyka. Ale teraz pani ręka była chłodna i miękka. I uśmiechnąłem się.

A pani się pyta:

– Skąd wiesz, że to tryptyk?

– Wiem, widziałem na obrazku, na pocztówce, w kościele.

Plącze się i jeszcze się bardziej zaczerwieniłem. I dopiero pani się pyta:

– Czy można?

Podaję zeszyt i mówię:

– Proszę.

A pani patrzy na dawne rysunki i na ten ostatni. A Wiśniewski wyskoczył ze swojej ławki i także nos wsadza i mówi:

– Tryptyk.

Bałem się, że pani zacznie pokazywać i chwalić, że dobrze. Przecież powinna zrozumieć, że w takiej gromadzie zawsze się znajdzie zazdrosny albo błazen i potem będzie dokuczał, wyśmiewał. I pani to rozumiała, bo Wiśniewskiemu kazała iść na miejsce, a mnie tylko powiedziała:

– No, odpocznij sobie teraz.

Zamknęła zeszyt i położyła ostrożnie przede mną na ławce.
Ostrożnie i równo.

Zaraz pomyślałem, że gdybym znów był nauczycielem, tobym nie rzucał zeszytów na ławkę, nie przekreślał grubą linią, aż atrament się rozpryskuje, jeżeli co źle napisane. Kładłbym tak samo ostrożnie i równo jak pani.

Niedługo odpoczywałem, bo się lekcja skończyła. I mam iść do kancelarii. Ale kierownik stoi przy drzwiach, więc się zatrzymałem. I pani stanęła. Ja z boku czekam i nie wiem, co mówić. A znów podchodzi woźny.

Już dwa razy zacząłem „proszę pana”, ale wiem, że kierownik nie słyszy, bo cicho powiedziałem. Jest strasznie nieprzyjemnie, jeżeli się musi powiedzieć, a wstydzi się mówić.

Oni rozmawiają o jakichś tam swoich sprawach, a ja nie wiem, nie słyszę. Ale kierownik zwraca się do mnie:

– Idź do szóstego oddziału i zobacz, czy tam jest globus. Tylko prędko, piorunem!

I dopiero spojrzał na mnie i przypomniał sobie, bo mówi:

– A nie wpadnij po drodze na kogo!

Pobiegłem do szóstego oddziału, a chłopcy:

– Wyjeżdżaj, po co tu wlałeś?

– Czy tu jest globus?

– Czego ci się zachciało?

I wypycha mnie. A ja się spieszę, a on pcha. Odszarpnąłem się i mówię:

– Pan kierownik się pyta.

A drugi nie słyszał i wrzeszczy:

– Jeszcze tu jesteś! Wynoś się, szczeniaku, pókiś cały!

Już sam nie wiem, co robić. Krzyczę znów:

– Pan kierownik!...

– Co pan kierownik?

– Pyta się, czy tu jest globus?

– Nie ma tu nic, słyszysz?

Uderzył ręką po głowie i drzwi zamknął przed nosem.

Wracam, ale naprawdę, to nie wiem.

Mówię:

– Oni powiadają, że nie ma.

Na szczęście akurat jeden uczeń niesie już globus. Gniewa się, że znów połamię. Ani sposób rozmówić się z kierownikiem, a nie chcę odkładać. Więc w takiej rozpaczycy pociągnąłem panią za rękaw. Nie pociągnąłem, ale lekko ruszyłem i mówię cicho:

– Proszę pani.

A pani od razu usłyszała. Odeszła ze mną parę kroków, nachyliła się.

– Czego chcesz?

Ja już zupełnie cicho:

– Niech pani poprosi kierownika, żeby nie wołał mamy.

Tak cicho powiedziałem jak do ucha. Bo niewygodnie być małym. Ciągłe trzeba głowę zadzierać do góry... Wszystko dzieje się gdzieś wysoko, nad tobą.

Czuje się człowiek jakby mniej ważny, poniżony, słaby i jakiś zagubiony. Może dlatego lubimy stać przy dorosłych, kiedy oni

siedzą: wtedy możemy widzieć ich oczy.

– Za co kierownik wezwał twoją mamę?

Nie wiem dlaczego, ale się wstydzę powiedzieć. Przykro głupstwo takie opowiadać.

Spuściłem głowę, a pani jeszcze więcej się nachyliła.

– Przecież, jak nie wiem, nie mogę poprosić. Muszę wiedzieć.

Bardzo zwojowałeś?

Mówię:

– Nie.

Bo sam nie wiem, czy to ważne.

– No, powiedz.

Może dlatego niechętnie opowiadamy dorosłym, że zawsze się spieszą, jak z nimi mówimy. Zawsze się zdaje, że ich nie obchodzi, że tak coś tylko powiedzą, byle zbyć, byle się prędzej odczepić. No pewnie: oni mają swoje ważne sprawy, a my swoje. I my też staramy się, żeby krótko powiedzieć, żeby im głowy nie zawracać. Że niby nasza sprawa nieważna i niech tylko powiedzą: tak czy nie.

– Bo jak leciałem przez korytarz, wpadłem na kierownika.

– Uderzyłeś?

– Nie, tylko się ręką oparłem o brzuch.

– O brzuch – poprawiła pani.

I uśmiechnęła się.

I w sekundę było już załatwione. Pomyślałem „dziękuję” i idę do klasy. Nawet się nie ukloniłem. To pewnie było niegrzecznie. Mniejsza z tym. Aby już siedzieć na ławce, że się to wszystko

skończyło.

A na ostatniej godzinie czytał pan o Eskimosach. Że pół roku trwa u nich zima, a domy budują ze śniegu. Te budki nazywają się: „igloo”. Można w nich palić ogień, ale musi być zimno, bo się roztopi.

Kiedy byłem dorosły, też wiedziałem o Eskimosach, może nawet więcej. Ale mnie nie obchodzili. Nie myślałem nawet, czy są naprawdę. Teraz zupełnie inaczej. Żał mi ich.

Niby mam oczy otwarte, patrzę na pana, a widzę pola lodowe – nic, tylko lód i śnieg. Ani jednego krzaczka, ani jednej krzewiny. Ani sosny, ani trawy. Nic, tylko lód i śnieg. Potem przychodzi noc. Wiatr, ciemność, tylko czasem zorza. Czuję w sobie mróz i tęsknotę. Biedni Eskimosi! Zimne mają życie. Bo u nas najbiedniejszy wygrzeje się chociaż w słońcu.

Tak było cicho, kiedy pan czytał. Ktoś z tyłu raz jeden coś szepnął, cichutko, pan nawet nie spojrzął na niego, że rozmawia. Ale myśmy się zaraz odwrócili. Jeżeli był głupiec, którego i to nie zajęło, nie odważyłby się przeszkodzić. Niechby spróbował, miałby się z pyszna!

Wszyscy wpatrzeni w pana, znieruchomieli, a oczami rzadko mrugają. Na pewno widzą jak ja – pola wiecznego lodu.

Szkoda, że przed rysunkami nie było geografii, byłbym lepiej narysował. Byłbym prawdziwiej narysował oczy chłopców. Chociaż wtedy inaczej patrzyli, kiedy dawano różgi. Teraz w oczach mają rozmarzenie, a wtedy zgrozę.

Wyjmuję zeszyt rysunkowy, oglądam swój tryptyk i już

przestają uważać. Zmęczyło mnie współczucie dla biednych Eskimosów.

Dobrze, że znów jestem mały. I dobrze, że nie jestem Eskimosem albo Chińczykiem. Ile to dzieci męczy się na świecie. Cyganięta, Chińczycy, Murzyni. Dziwnie jest świat zbudowany. Bo dlaczego urodził się Murzynem, i zawsze: mały, potem dorósł i starzec. Bierze i umiera. Musi umrzeć.

A tu nagle hałas taki w klasie. Co to? Wszyscy mówią. Dopiero domyśliłem się, o czym pan czytał, kiedy nie słuchałem, kiedy przestałem uważać. Musiał pan czytać, jak polują na foki, na morsy.

Każdy zadaje pytanie. Jeden to chce wiedzieć, drugi tamto. Aż wybiegają z ławek. A pan mówi, żeby usiedli, że jest krzyk i nic pan nie powie, dopóki się nie uspokoją. A nie mogą się uspokoić, bo każdy chce wiedzieć, wszystko chcą wiedzieć dokładnie.

– Czy Eskimosi nie jedzą chleba? Dlaczego nie pojedą, gdzie cieplej? Czy nie można im wybudować domów z cegły? Czy mors silniejszy od lwa? Czy Eskimos może zmarznąć na śmierć, jak zabłądzi? Czy wilki są? Czy umieją czytać? Czy nie ma między nimi ludożerców? Czy lubią białych? Czy mają króla? Skąd mają gwoździe na sanki?

Jeden opowiada, jak dziadek jego zabłądził w zimie, w polu. Drugi o wilkach. Każdy krzyczy, żeby inni byli cicho, bo sam chce coś ważnego powiedzieć albo się zapytać.

Jeśli człowieka mało coś obchodzi, może zaczekać. A ich Eskimosi bardzo obchodzą. Sami przed chwilą jakby mieszkali

het, pod biegunem, więc teraz chcą wiedzieć, jak żyją ci bliscy ich, znajomi, krewni, którzy zostali i jest im tam źle – i pragną im pomóc.

Kiedy dawniej posyłali na Syberię więźniów politycznych, jak kto stamtąd powrócił, też różne matki, siostry i narzeczone pytały się, jakie tam życie, co robią, czy i kiedy przyjadą. Bo z listu niewiele się można dowiedzieć.

Tak samo z książki. Nauczyciel powinien jeszcze raz sam opowiedzieć wszystko, co wie, o fokach, śniegu, reniferach, o zorzy północnej. A nawet powtórzyć. Bo ze wzruszenia nie wszystko słyszeli.

Dla nauczyciela – to czwarta lekcja, czwarta godzina pracy w szkole, a dla klasy – wieści z dalekiego lądu od drogich im osób. Zmęczony jest nauczyciel i my także, tylko inaczej. I oto rodzi się zniecierpliwienie. On ma dosyć, my pragniemy jeszcze.

Już pan prawie się gniewa. Grozi, że za karę nigdy nic nie przeczyta.

Nigdy!

Uciszyło się na chwilę, chociaż nie wierzą. Gdyby powiedział: tydzień, ale – nigdy. A jakiś głupi zaczyna błaznować.

– Eee, pan nie będzie taki zły – mówi. – Oni głupie, że hałasują, ale to dobre chłopaki!

Niby się wstawia, od razu widać, że chce pana zniecierpliwic, żeby była awantura, żeby pan zaczął krzyczeć. Wszędzie się jeden taki znajdzie. Albo go nic nie obchodzi, więc nawet nie lubi, jak lekcja ciekawa, bo musi być cicho, bo wszyscy słuchają.

Albo na złość będzie przeszkadzał, bo mu się akurat w tej chwili to nie podoba.

Już nauczyciel patrzy, kogo wyrzucić za drzwi, już spojrzął na zegar, bo chce, żeby się skończyło. I robi się nieprzyjemnie. A nauczycielowi samemu szkoda nawet, bo wie, że słuchali. Więc się powstrzymał, niby się uśmiechnął i mówi:

– No, ty tam, co tak rezonujesz, powtórz, o czym czytałem.

I zaczyna się zwyczajna lekcja, kiedy nauczyciel się pyta, a klasa stęka, bąka, źle odpowiada. I pan myśli, że nie umiemy, żeśmy głupie dzieciaki.

Jakem był duży, im bardziej mnie coś obchodziło, tym lepiej mogłem mówić. A u dzieci jest może inaczej. Jeżeli coś bardzo obchodzi, właśnie dlatego trudno opowiedzieć, choćby nawet wiedziały. Jakby się wstydziły, że powiedzą nie tak, jak trzeba. Bo przykro, że w szkole trzeba mówić naukowo, na stopień, pochwałę albo naganę, a nie – jak się czuje naprawdę.

Nudno skończyła się lekcja, dopiero na pauzie mówiliśmy o Eskimosach naprawdę. Jeden to lepiej pamięta, drugi inne. I kłóć się:

– Pan tak czytał.

– Nieprawda.

– To możeś¹² wrony łapał, kiedy czytali.

– Sam wrony łapałeś!

Wzywają świadków.

– Nieprawda, że pan czytał, że okna robią z lodu?

¹² *możeś wrony łapał* – dziś: może łapałeś wrony. [przypis edytorski]

– Nieprawda, że foka to ryba?

– No, dobrze, zapytamy się pana.

Pewnie ze wszystkimi jest tak jak ze mną. Zamyślił się w jakimś miejscu, potem już nie mógł dogonić. Więc każdy co innego pamięta. I dopiero cała klasa wie naprawdę wszystko. A potem bawią się w Eskimosów; gdzieś na schodach czy na podwórku opowiedzą takim, którzy nie byli, z głowy dołożą, żeby było ciekawiej.

A do domu wracałem z Mundkiem.

Ulica mi się teraz wydaje bardzo ciekawa. Wszystko ciekawe. I tramwaje, i pies, i przechodzący żołnierz, i sklepy, i szyldy nad sklepami. Wszystko znów nowe, nieznane, jakby świeżo pomalowane. Nieznane nie jest, bo znam tramwaj, ale chcę wiedzieć, czy ma numer parzysty, czy nie.

– Zgadujmy, czy pierwszy tramwaj będzie parzysty, czy nie, czy mniejszy niż sto, czy większy.

Już gotowa zabawa.

Żołnierz, więc trzeba spojrzeć, czy ma naszywkę, czy nie, z piechoty czy artylerii.

Mechanik coś majstruje w skrzynce telefonu, robotnicy czyszczą kanał miejski. Zatrzyma się zaraz człowiek, bo może będzie ciekawe.

O wszystkim nowe myśli przychodzą do głowy.

I psów się dużo widziało. Ale ten nos liźnął językiem – i znów:

– Psy nie potrzebują chustek do nosa, bo językiem nos przelizują; a ludzie tylko pociągają nosem. I bierze ochota

spróbować¹³.

Sięgam do nosa językiem, a Mundek radzi:

– Nachyl nos palcem.

Ja mówię:

– Palcem to nie sztuka.

A on:

– No, spróbuj.

Przechodzi obok kobieta i mówi:

– Głupie dzieciaki, jęzory powywalali.

Myśmy się zawstydzili, bośmy zapomnieli zupełnie, że ludzie chodzą i patrzą.

Gdyby ta pani wiedziała, o czym rozmawiamy, toby się nie dziwiła, bo to była próba, jak bardzo ludziom chustki do nosa potrzebne, czy psy mają wiele dłuższe języki i jak sobie radzi człowiek bez nosa. Chcieliśmy sprawdzić, a jak kto nie słyszał rozmowy, zdaje mu się, że głupie.

Kiedy jeszcze byłem dorosły, spieszyłem się raz na pociąg. A tu wiatr z kurzem prosto w oczy. Nie wiem, czy walizkę trzymać, czy kapelusz, czy oczy zasłonić. Zły jestem i spieszę się, żeby nie spóźnić, bo bilet trzeba kupić, a może tłok przy kasie.

A tu chłopaki tyłem lecą – trzech było. Śmieją się, że wiatr ich pcha. Też coś tam między sobą mówili. A jeden mi prosto pod nogi. Chciałem się usunąć, a on o walizkę zawadził. Rugnąłem¹⁴ go, że wariuje, że ludziom przeszkadza. No tak, ale i ja mu

¹³ *spróbować* – dziś popr.: spróbować. [przypis edytorski]

¹⁴ *rugnąć* – skrzyczeć, zwymyślać. [przypis edytorski]

przeszkodziłem. Kto go tam wie, w co się bawili, co sobie myśleli. Może był akurat balonem, okrętem, żagłowcem, a ja ze swoją walizą byłem mu rafą podwodną. Dla mnie wicher – przykrość, dla niego – uciecha. Przeszkadzają sobie dorośli i dzieci: ci tym, a ci tym.

Kiedy pierwszy raz byłem mały, lubiłem z zamkniętymi oczami chodzić po ulicy. Mówię: „Dziesięć kroków przejdę z zamkniętymi oczami”. Jak ulica pusta, zamknę oczy na dwadzieścia kroków i żeby nie wiem co, nie otworzę. Idę z początku zamasyście, a już potem wolniej, ostrożniej. Nie zawsze się udawało. Raz wpadłem do rynsztoka. Wtedy jeszcze w rynsztokach woda płynęła, teraz jest już kanalizacja, kanały, rury są w ziemi. Więc wpadłem w rynsztok, nogę wywichnąłem – z tydzień mnie bolała. W domu nic nie mówiłem, bo co mówić, kiedy nie rozumieją? Powiedzą, że po ulicy trzeba chodzić z otwartymi oczami. Przecież to każdy wie, ale raz dla odmiany można spróbować¹⁵.

Drugi raz łbem wyrznąłem o latarnię – guza nabiłem, a dobrze, że czapka trochę ochroniła. Bo niech się tylko da jeden krok krzywo, cały kierunek się zmienia i albo w latarnię, albo w przechodnia. Gdy się wpadnie na kogo, jeden tylko odsunie i nic albo coś wesołego powie. A czasem jak zwierz się obruszy:

– Ślepy jesteś, nie widzisz?

I spojrzy złowrogo, jakby chciał pożreć.

Raz byłem już dużym chłopakiem – z piętnaście lat miałem.

¹⁵ *spróbować* – dziś popr.: *spróbować*. [przypis edytorski]

Idę, a dwie dziewczynki goniły się – bokiem jakoś leciały – i prosto na mnie. Za późno było wyminąć, więc nachyliłem się, rozstawiłem ręce – i bokiem obie naraz mi wpadły. Spojrzały wystraszone. Jedna miała oczy niebieskie, a druga czarne – roześmiane oczy. Chwilkę je zatrzymałem, żeby złapać równowagę i wyminąć. Jedna krzyknęła „Oj!”, a druga powiedziała „Przepraszam”. Ja powiedziałem „Proszę bardzo”. I obie mi wyfrunęły. Uciekły i odwróciły, i śmieją się, a jedna na jakąś panią wleciała. A ta pchnęła ją, że aż się zatoczyła. Tak ordynarnie.

Przecież dzieci potrzebne są na świecie i właśnie takie, jak są.

Mówię:

– Mundek, chcesz się ścigać z tramwajem?

Staliśmy akurat koło przystanku.

On mówi:

– Dobrze. Kto prędzej: tramwaj czy my. Do rogu.

– Do rogu.

Z początku łatwo, bo tramwaj nie miał rozpędu. Ale potem pędzimy już środkiem ulicy, koło chodnika – gdzie konie; dorożka nam przeszkodziła. Przegraliśmy.

On mówi:

– Ale ja pierwszy!

Ja:

– To nie sztuka, ty miałeś palto rozpięte.

On:

– A kto ci bronił? I ty mogłeś palto do tyłu podwinąć.

Ba, zapomniałem. Tyle lat się z tramwajem nie ścigałem, że wyszedłem z wprawy.

– No, dobrze – mówię – jeszcze raz; i ja się rozepnę.

Ale już nie chce. Mówi, że drą się buty. A ja bym tylko pędził. Cieszę się, że się nie męczę. Bo byłem zasapany i serce mi stukało, ale przystanąłem na chwilę, już wypoczęty. Bo dziecinne zmęczenie nie męczy.

Mówimy, jak się nauczyć wskakiwać do tramwaju. Wcale nie niebezpiecznie, tylko trzeba umieć. Trzeba biec za tramwajem, choćby z daleka. Kiedy się umie, trzeba biec przy tramwaju i ręką dotykać. A potem już sięgać. A dopiero później – ale nie w pełnym biegu, tylko kiedy rusza, wskoczyć i wyskoczyć. W miesiąc można się nauczyć. I lepiej do przyczepnego¹⁶, bo jak się nawet przewrócisz, nie wpadniesz pod koła. I trzeba się rozejrzeć, czy z tyłu nie jedzie samochód.

I dorośli też nogi łamią.

Zaczęliśmy mówić o wypadkach.

Powiadam:

– Za moich czasów nie było samochodów.

Spojrzał zdziwiony:

– Jak to nie było?

– No, nie było – mówię ze złością, że mi się wymknęło.

I zatrzymaliśmy się przy słupie z ogłoszeniami.

W kinie dają *Katusze miłości*.

– Chciałbyś wiedzieć?

¹⁶ przyczepny – tu: drugi wagon tramwaju. [przypis edytorski]

Mundek się skrzywił:

– Tak sobie. Miłosne obrazy są nudne. Albo się całują, albo chodzą po pokojach. Tylko czasem ktoś strzela. Wolę detektywów.

– A chciałbyś być detektywem?

– Ja myślę. Gonić po dachach, przez płoty – z brauningiem¹⁷.

Przeczytaliśmy ogłoszenie cyrku.

– Najlepiej lubię cyrk.

Stoimy, gwarzymy, idziemy dalej.

– A jutro pięć lekcji¹⁸.

– Przyroda.

– Żeby nam pani coś więcej o fokach opowiedziała, o białych niedźwiedziach.

– Chciałbyś być niedźwiedziem?

– Jeszcze jak!

– Ale niedźwiedzie niezgrabne.

– Wcale nie są niezgrabne, tylko się tak zdaje. Ale wolałbym być orłem. Wzbiłbym się na najwyższy szczyt skały, wyżej niż chmury. Stanąłbym samotny i dumny.

Przyjemniej mieć skrzydła niż fruwać aeroplanem. Zawsze benzyna i może się zepsuć, potrzebne hangary i nie wszędzie można lądować. Czyścić trzeba, brać rozpęd. A skrzydła, jak nie

¹⁷ *brauning* a. *browning* (daw.) – pistolet, nazwa pochodzi od nazwiska amerykańskiego konstruktora i wytwórcy broni palnej, Johna Mosesa Browninga (1855–1926). [przypis edytorski]

¹⁸ *lekcyj* – dziś częstsza forma D. Im: lekcji. [przypis edytorski]

fruwasz, zwinąłeś, i dobrze.

Gdyby ludzie mieli skrzydła, ubranie musiałyby być inne. W bluzie byłyby z tyłu otwory i trzymałyby się skrzydła na wierzchu albo pod marynarką.

Idą sobie dwaj chłopcy – niby nic – rozmawiają. Ci sami, co przed chwilą języki wyciągali, żeby nos polizać, ci sami, co dopiero z tramwajem się ścigali. A teraz mówią o skrzydłach dla ludzkości.

Dorośli myślą, że dzieci tylko dokazywać i pleść trzy po trzy potrafią, a one przepowiadają odległą przyszłość, spierają się o nią i debatują. Dorośli powiedzą, że nigdy ludzie nie będą mieli skrzydeł, a ja byłem dorosły i powiadam, że mogą mieć skrzydła.

Więc mówimy, że przyjemnie byłoby fruwać do szkoły i ze szkoły. Wyfrunę, a jak się zmęcze, przejdę kawałek drogi. Raz skrzydła odpoczywają, raz nogi.

Można by się i z okna wychylić, i na dachu przysiąść – do lasu na wycieczkę pofrunąć. Nad miastem lecimy parami, a za miastem każdy w swoją stronę. W lesie możesz iść, dokąd chcesz, a zgubiłeś drogę, więc frunąłeś w górę i patrzysz, gdzie miejsce zlotu – i nie możesz zbłądzić.

– Co, Mundek, dobrze by było?

– Pewnie, że dobrze.

I ludzie by wyćwiczyli wzrok. I mówimy, że ptaki przelotne trafiają do swoich wsi i do swoich gniazd. Ani atlasów, ani kompasów nie mają, a przez morza i góry, i rzeki trafiają.

Mądre ptaki, mądrzejsze od człowieka. A człowiek nad

wszystkim panuje, wszystko go słucha.

– Może tak jest dlatego, że najlepiej zabija, a nie, że najlepszy.

Zamyśliliśmy się, a tu nagle chłopak jakiś przechodzi – duży taki łobuz – i czapkę mi z głowy zrzucił. Kijek trzymał i tak za daszek czapkę zgarnął z głowy.

Doskakuję od razu do niego:

– Czego zaczynasz?

– A ja ci co zrobiłem? – udaje zdziwionego.

– Czapkę zrzuciłeś.

– Jaką czapkę?

Śmieje się bezczelnie i w żywe oczy udaje.

– A nie zrzuciłeś może?

– Pewnie, że nie. Patrz, on trzyma twoją czapkę.

A Mundek czapkę podniósł i patrzy, co z tego będzie.

– On trzyma, a ty zrzuciłeś.

– Odlewaj się, smarkaczu! Czapkę mu będę znów zrzucał! Nie mam co do roboty.

– Pewnie, że nie masz, łobuz taki. Spokojnie przejść nie daje.

– Tylko nie łobuz, uważasz, bo możesz dostać!

I szturchnął mnie tym patykiem pod brodę. A ja łap za patyk, ten kijek, i złamałem.

On do mnie. Ja stoję.

– Oddaj mi laskę albo zapłać.

Ale się nachylił. On wyższy, więc podskoczyłem trochę i pięścią go w czoło. Ale mu czapka nie spadła. Ja w nogi, a Mundek za mną.

Aleśmy¹⁹ szorowali²⁰.

„A masz – myślę – na drugi raz nie czepiaj się, bo i od małego możesz dostać, andrusie²¹”.

Z początku zaczął gonić, ale widzi, że nie ma racji, że nie na frajera trafił, więc daje pokój.

Stanęliśmy – śmiejemy się.

Przed chwilą taki byłem wzburzony, że mi krew oczy zalała. Wszystko na czerwono widziałem. Teraz znów wesoło. Czapkę okurzam rękawem.

A Mundek mówi:

– Po coś z nim zaczynał?

– Ja z nim zacząłem czy on?

– No, tak, ale on większy.

– Większy, więc ma ludzi po świecie roztrącać?

– A jak jutro cię pozna i nawali²²?

– Nie pozna, co ma poznać.

Ale Mundek ma słuszość. Teraz będę się musiał pilnować.

Ale czy to słychane, żeby w biały dzień na ludnej ulicy czapki z głowy zrzucać? Gdyby tak dorosłemu, byłaby cała heca, zbiegowisko, milicjant²³. A że dzieciakowi, to nic. Wśród dzieci

¹⁹ *Aleśmy szorowali* – ale szorowaliśmy, tj. biegliśmy niezwykle szybko. [przypis edytorski]

²⁰ *szorować* (daw. pot.) – biec, iść. [przypis edytorski]

²¹ *andrus* (daw.) – łobuziak. [przypis edytorski]

²² *nawalić* (tu pot.) – pobić. [przypis edytorski]

²³ *milicjant* – formacja, która pilnowała porządku w przedwojennej Polsce, nosiła nazwę policji, ale jej funkcjonariuszy autor nazywa często milicjantami.

też są awanturnicy, a nie mamy przed nimi żadnej pomocy ani osłony – sami radzić musimy.

Stoimy na rogu, a szkoda nam się rozchodzić. Mówiliśmy przecież o czymś ważnym, a ten nam przeszkodził. Przyjemna była droga: zabawa, rozmowa, przygoda.

Idę teraz sam już powoli i staram się chodzić, żeby stanąć akurat na środek kamienia. Jak się gra w klasy: żeby nie wejść na linię. Byłoby łatwo, ale przechodniów trzeba wymijać; a od razu zrobić krok w krok i nie stanąć na linii nie zawsze się uda.

Więc wolno mi tylko dziesięć razy. Jeżeli będzie więcej, to przegram. Liczę: raz mi się nie udało – dwa, trzy, cztery razy. Jeszcze mi wolno – sześć, pięć. Boję się, ale taki strach w zabawie przyjemny.

Tylko osiem razy stanąłem i wchodzę do bramy. Jeszcze tylko przed sklepem postraszyłem kota. Kot do bramy, ja za nim. Uskoczył w bok i patrzy: śmiesznie podniósł łapkę do góry.

– Wydawałeś²⁴ z czego? – pyta się mama.

– Nie.

Milicja i **policja** to wyrazy bliskoznaczne, oba oznaczają zorganizowaną grupę ludzi przygotowanych do walki, których obowiązkiem jest pilnować porządku i zapewniać spokój w społeczności, np. w mieście czy w państwie. Nazwa **policja** pochodzi od łac. *politia* i gr. *politeia*, a te słowa oznaczały pierwotnie sztukę zarządzania miastem, utrzymywania porządku w mieście, zaś **milicja** wywodzi się od łac. *militia*, co znaczyło: służba wojskowa. W Polsce przed II wojną światową używano obu tych słów, w latach 1944–1990 stróżów prawa nazywano oficjalnie Milicją Obywatelską, a potem przywrócono nazwę Policja. [przypis edytorski]

²⁴ *wydawać*, właśc. *wydawać lekcję* – odpowiadać na ocenę z zadanego tematu. [przypis edytorski]

Pocałowałem w rękę – serdecznie. Aż mama na mnie spojrzała i pogłaskała po głowie.

Cieszę się, że kierownik przebaczył i że znów mam matkę.

Dzieciom się zdaje, że dorosłemu matka niepotrzebna, że tylko dziecko może być sierotą. Już tak jest, że im starsi, tym rzadziej mają rodziców. Ale i dorosły ileż ma chwil takich, kiedy zatęskni za matką, za ojcem, gdy mu się zdaje, że tylko rodzice mogliby wysłuchać, zrozumieć, poradzić i pomóc, a jeśli trzeba – przebaczyć i pożałować. Więc i dorosły czuje się sierotą.

Ano, zjadłem obiad, co teraz będę robił?

Więc schodzę na podwórko. Felek, Michał, Wacek.

– **Bawiem**²⁵ się w polowanie?

Michał wystrugał rewolwer, pomalował atramentem na czarno, ponabijał gwoździami. Skądciś²⁶ takich gwoździ nabrał ze złotymi łebkami – przecież nie złote były – mosiężne, błyszczące. Michał nazwał go „Zwycięski rewolwer”. Niby że dostał na polu bitwy w nagrodę za waleczność. Sam generał mu dał za czyn bohaterski. Niby że po bitwie cały pułk ustawili w szereg. Orkiestra gra, sztandary – huknęli na wiwat – defilada, a potem generał mówi:

– Ten rewolwer zdobył mój pradziad na Turkach i przechodził po mieczu z syna na wnuka. Dwieście lat był w naszym rodzie. A teraz, jako mi życie uratowałeś, niech ci służy.

Tak powiada Michał.

²⁵ *bawiem się* (gw.) – bawimy się. [przypis edytorski]

²⁶ *skądciś* (gw.) – skądś. [przypis edytorski]

Raz mówił, że pod Wiedniem, drugi raz – Cecora, to znów Grunwald. Ale to nieważne. Teraz, kiedy znów jestem dzieckiem, zdaje mi się, że historia nieważna, co człowiek wie, ale jak ją czuje w sobie. Kiedy byłem nauczycielem, inaczej myślałem.

No, więc Michał będzie myśliwy, Felek – zając, a my z Wackiem – psy.

Nie od razu postanowiliśmy. Z początku miał być pościg za bandytą, ja chciałem, że wyprawa Eskimosów.

Rzadko bywa, żeby wszyscy jednakowo. Czasem ktoś nie bardzo chce się bawić, więc trzeba mu ustąpić dla zachęty. W Eskimosów nie chcą, bo nie ma śniegu, a w bandytów Michał nie pozwala.

– Jakeśmy²⁷ się wtedy bawili, toście²⁸ mi rękaw oberwali.

Nie oberwali, tylko był słabo przszyty, więc się nitka przetała. Bo Michał był niebezpiecznym bandytą, nieśliśmy go do piwnicy na stracenie. Wyrwał się i mógł uciec, więc nie mogliśmy zwracać uwagi na rękaw.

Zabawa w zająca jest spokojniejsza, to prawda, i jeśli się uda, też może być bardzo ciekawa.

Najważniejsze w zabawie, z kim się bawić. Są dzikusy, że z góry wiadomo, że się skończy jakim wypadkiem. Taki na nic nie zważa, byle na swoim postawić, że wygrał. Z takim nie bardzo przyjemnie, bo się trzeba pilnować. Bierze się do zabawy, bo

²⁷ *jakeśmy się bawili* – dziś raczej: jak się bawiliśmy. [przypis edytorski]

²⁸ *toście mi rękaw oberwali* – dziś: to mi rękaw oberwaliście. [przypis edytorski]

inaczej przeszkadza, ale mu się stawia warunki. Nieprzyjemna też jest zabawa z kłótliwym. Byle co, zacznie się kłócić albo się obrazi. Chłopcy mniej się obrażają, ale dziewczynki często... W najciekawszym miejscu o byle co się przyczepi:

– No to nie gram.

Mogą wszyscy mówić, że nie ma słuszności, a on swoje. Jeżeli można, to mu się ustąpi, żeby nie psuć wszystkiego, ale to strasznie gniewa.

Dorośli nie rozumieją. Powiedzą:

– Idźcie się bawić. Dlaczego się z nim nie bawicie? Dostyc się już bawiliście.

I źli są, że nie słuchamy.

No bo jakże się bawić z niezdara, co się zaraz przewróci, popłacze i pójdzie na skargę? Albo z głupim, co nic nie rozumie i w najważniejszym miejscu zepsuje?

Jakże przerwać nagle zabawę i nie wiadomo, jak by się skończyła.

Zabawa musi być dobrze zmontowana, a się nie zawsze uda, więc jeżeli się uda, chciałoby się skorzystać.

Ano, bawimy się w polowanie.

Zając pokręcił się po podwórzu, ale psy z obu stron zachodzą. Więc daje susa do sieni... Ja za nim. Stoję i węszę, czy poleciał na górę po schodach, czy do piwnicy... Zdaje mi się, że w piwnicy chrobocze. Skradam się, a tu ciemno.

Zając prawie zawsze pędzi do piwnicy, bo w ciemności łatwiej przycupnąć i wywinąć się. I jeżeli chciał spokojnej zabawy, też

do piwnicy lepiej... Bo zawsze troszkę strach, przy tym trzeba uważać, żeby na kogo nie naskoczyć.

W zeszłym roku Olek z rozmachu zrzucił ze schodów matkę Józka z koszykiem węgla. Byłem wtedy dorosły i pamiętam nawet, jak się oburzałem, że chłopcy za wiele sobie pozwalają, a stróż za mało miotłą goni z podwórza. Rozpuszczone toto i lokatorzy spokoju nie mają. Szczęście, że kobieta nic sobie nie zrobiła, tylko skórę na nodze zdrapała; ale mogło być gorzej.

Myśmy mieli wielkie współczucie dla każdego dorosłego guza albo siniaka, a jak się dziecku co stanie, mówimy: „Dobrze ci tak, na drugi raz nie wojuj”.

Jakby dziecko mniej czuło, miało inną skórę niż oni.

I dobrze, jeśli tylko wyśmieją, chociaż i to też gniewa. Bo masz ból i przestraszyłeś się, a oni żartują. Bywa gorzej: wykrzyczą. Wiedzą, że nieumyślnie, bo kto by sam chciał się kaleczyć, a wygląda, jakby „właśnie im na złość rozbiję się czy skaleczę”.

Teraz już rozumiem, że jeśli jestem psem myśliwskim, a w piwnicy ukrył się zając, a jeszcze mignie w ciemności – nie mogę schodzić noga za nogą, muszę szust-szust, po trzy stopnie, choćbym miał się pośliznąć i zwalić na łeb, albo mi drzazga z poręczy wlezie pod skórę. Ryzykuję wtedy, a właściwie nie zastanawiam się wcale, bo go chcę złapać. A bo raz pies z tego pędu wyrznie w lesie o drzewo i głowę roztrzaska? A pies ma cztery łapy, a ja dwie.

Jestem psem i szczekam, i skomlę, że ślad straciłem. Gdy byłem dorosły, miałem gruby głos i nie mogłem już ani szczekać,

ani piąć jak kogut, ani gdakać jak kura. Teraz znów odzyskałem świeży głos dziecięcy i poszczekuję jak dawniej.

Stoję tak, stoję – przywarowałem, i do piwnicy. A Wacek za mną. A tu nam zając nad głowami wali z przygórką²⁹ na podwórze.

Szczeknałem z tego zawodu, co mnie spotkał, i za nim!

Wymówiliśmy³⁰, że na ulicę nie wolno, ale na podwórku ciasno, więc parę razy okrążył, a tu już i psy, i myśliwy z boku zachodzi. No i zając w bramę.

– Nie wolno!

Ale gadaj z zającem, kiedy broni życia, dokąd i co mu wolno! Przecie życia broni. I jeśli chcemy się bawić, my to rozumiemy.

Zawsze się przed zabawą wymawia, co wolno, ale trudno się trzymać przepisów w niebezpieczeństwie.

Jeżeli jesteśmy zmęczeni albo nie bardzo się chce bawić, albo zrobi już coś takiego, czego zupełnie nie wolno – wtedy przerywa się zabawę i zaczyna się kłótnia. Nie kłótnia, ale tylko tak, żeby trochę wypocząć albo coś zmienić w zabawie, jakieś ulepszenie wprowadzić. Jednego się wyrzuci z zabawy, drugiego przyjmie; albo pies zostaje zającem, albo nie tak, nie tu. Albo ktoś inną teraz wymyśli.

I dlatego właśnie przyjemnie się bawić samemu, bez dorosłych. Dorosły z góry mówi, jak ma być, sam wybiera, kto czym ma być, i popędza, jakby mu czasu było szkoda. A przecież

²⁹ przygórek – strych. [przypis edytorski]

³⁰ wymówić – tu: umówić się, zastrzec. [przypis edytorski]

nie zna chłopców dokładnie.

Dobrze dla odpoczynku trochę się poswarzyć³¹.

Zejdą się w kupkę i radzą. Czasem spokojnie, a czasem w złości.

Jeżeli się stanie, że się uderzył albo mu co pęknie (z ubrania), całą winę składa się na tego, kto inaczej robił, niż była umowa.

– Przez ciebie.

On się broni, że nie, ale czuje winę. I my wiemy, że przykro przyznać się do winy, chyba że zanadto sobie pozwala albo że kto już się zanadto czepia.

– No dosyć.

– Więc się bawimy czy nie?

– No dobrze, już dobrze. Więc zaczynamy.

– Przestańcie się kłócić.

– Kto nie chce, może sobie odejść.

Więc zająć do bramy i na ulicę, a my za nim. On na drugą stronę i my na drugą. Nam łatwiej, bo jak jeden zwolni biegu, drugi z boku zachodzi i nastraszy. My równą drogą, a on zygzakami musi nakładać. Ale wybraliśmy dobrze, bo zająć starszy o jakie dwa lata, silniejszy i prędzej biegnie. Złapiemy go w końcu, ale cała sztuka, jak długo się będzie bronił.

No i złapaliśmy aż na trzecim piętrze. Zmordowany był, ledwo dyszał. Żywcem go złapaliśmy, bo już się nawet nie bronił, sam się poddał.

I usiedliśmy na schodku, i rozmawiamy. My też byliśmy

³¹ *poswarzyć się* – pokłócić się, pospierać się. [przypis edytorski]

zmęczeni, bo po schodach w górę. Tylko tak w sobie powiedzieliśmy, że żeby nie wiem co, już się nam nie wymknie, że go mieć musimy.

Mógł się jeszcze chyba skryć do mieszkania, do nory. Ale nie w tej sieni mieszka.

A on mówi:

– Jakbym chciał, tobyście mnie nie złapali.

My mówimy, że przecie nie mógł już uciec.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.